

Małgorzata Lisńska

BAJKI KRASNOLUDZKIE



Marcinowi, bo we mnie uwierzył

Spis treści

Robójnicy	4
Syndrom Śnieżki	48
Złoty smok z Itru	74
Syndrom Kopciuszka	109
Prawdziwa historia kryształowego pantofelka	134
Syreni śpiew	163
Ziarno	194
Werdeański czajniczek	216
Kto nie słucha ojca, matki...	237
Kanikuła w Zielonych Borach	263
Obudzić królową	290

Robójnicy

Panny z dobrego domu nie klną, nie piją, nie puszcza się i nie szlajają nocami po szemranych szynkach. Beneria rzadko żałowała, że nie jest panną z dobrego domu. Generalnie lubiła swoje życie. Przygody, szaleństwo i zmienność. Lubiła niepewność jutra i to, że niczego nigdy nie planowała. Nie musiała się martwić o przyszłość, a świadomość tego, co nadejdzie, nie spędzała jej snu z powiek. Zawsze trafiły się jakiś dach nad głową, jakaś przyjazna karczma i nieszpetyny fundator.

Taaa... Beneria rzadko żałowała, że nie jest panną z dobrego domu. Tego ranka jednak, gdy obudziła się w śmierdzącej stajni okryta brudną derką, z koszmarnym kacem, kompletnie nie pamiętając, jak się tam znalazła... Tego ranka, nim jeszcze otworzyła oczy, zatęskniła do bycia córką szlachetnej rodziny, z wpojonymi nudnymi zasadami. Miała niejasne wrażenie, że wtedy jakiś szalony królik nie buszowałby w jej trzewiach, a odzienie nie cuchnęłoby... Właśnie, co to za straszliwy odór? Niechętnie, gdyż czuła hordę doboszów wygrywających marsza tuż pod obolałą czaszką, uniosła powieki.

Wielkie ciemne oczy patrzyły na nią z zainteresowaniem. Chrapy siwka drgnęły lekko, jakby ze zdziwieniem wyczuwając obecność gościa. Beneria krzyknęła, odsuwając się od zwierzęcia. Uderzyła przy tym w cienką drewnianą ściankę rozdzielającą boksy. Koń parsknął cicho i pochylił łeb.

– Fúj! Wynocha! A sio! – Krasnoludka nerwowo przetarła rękawem oblizany przez czworonoga policzek. – Czy ja, do jasnej cholery, cmokam cię nieproszona? Dobra, dobra, wiem, że wlałam ci do łóżka, ale to jeszcze nie powód do takiej poufałości! No, poszedł! Wszystkie chłopcy takie same! Bez względu na gatunek! Jesteś mężczyzną, co? – Przekręciła głowę, żeby się upewnić. – Jasne, że jesteś. Żadna baba nie wciskałaby się z czułościami nieproszona. Poszedł wreszcie!

Koń jednak nie poszedł. Wręcz przeciwnie, z lubością przytulił pysk do szopy rudych włosów dziewczyny. Beneria przewróciła oczyma, odsunęła gniewnie łeb zwierzęcia i wstała. Świat zawirował w wesołym tańcu, przypominając pannie o ilości miodu wypitego poprzedniego wieczoru. Jęknęła cichuteńko, wspierając się o ściankę. Deski ugięły się lekko. Przez nieprawdopodobnie długą chwilę wspomniany miodzik podróżował to w górę, to w dół krasnoludzkich trzewi i wreszcie postanowił nie opuszczać tychże. Beneria odetchnęła głęboko.

– No i czego tak się wgapia, ha? – rzuciła do ogiera. – Baby z kociokwikiem nie widział?

Koń zarżał, trącając ramię kobiety.

– Jasne, jasne. Pewnikiem nie zaglądamy do ciebie za często. Nic to, przyjacielu. – Ulga złagodziła nastawienie Benerii, więc dziewczyna z namiastką czułości poklepała biały pysk. – Się będę zbierać. Miło było, chociaż śmierdzi w tym twoim wyrku... gorzej niż u jednej krasuli. Bywaj, chłopcze. – Przesłała mu całusa i ruszyła do wyjścia.

Nie zrobiła nawet trzech kroków, gdy zobaczyła dwie wchodzące postaci. Cofnęła się błyskawicznie. Nigdy

nie wiadomo, kogo niosą złe demony. Schowana za potężnym filarem, przyglądała się idącym. Wyższa postać wydała jej się znajoma. Mgliste znajoma, ale zawsze. Ognistoczerwone włosy niższej z całą pewnością nie były naturalne i aż dziw, że tak ściśnięty gorset pozwalał kobiecie oddychać.

– Jesteś pewna? – Głos wyższej osoby mimo męskiego odzienia oraz szczupłej, pozbawionej krągłości sylwetki i krótkich czarnych włosów zdecydowanie należał do niewiasty. A to niespodzianka! Beneria wgapiła się w kobiety i nadstawiła uszu.

– Przecież wiesz, że oni lubią się chwalić – odpowiedziała niższa. – Zwłaszcza kiedy już skończą i...

– Daruj mi szczegóły, Terise. Chcę tylko wiedzieć, czy jesteś pewna.

– Kapitan powiedział, że pojedą Zielonym Jarem, bo tam nigdy nie spotkali zbójców, a i trudno się ponoć tam na kogoś zacząć. Całą kwartalną daninę od jaśnie wielmożnego rządcy będą przewozić. Mówił, że z pięćset sztuk złota. Wyobrazasz sobie taki majątek? Można by pół hrabstwa za to kupić... a może i całe. Miałabym taki duży dom, nad morzem... – rozmarzyła się dziewczyna.

Wyższa pochyliła się i położyła dłonie na ramionach czerwonowłosej.

– Powinnaś przystać do nas, Terise – powiedziała cicho. Niższa roześmiała się perliście.

– Do lasu? Do wilgotnych, zimnych jaskini? I co ja bym tam robiła? Och, nie patrz tak na mnie, Ali. To nie jest takie straszne. Gospodyni mnie lubi. Pozwala mi wybierać

klientów. Mam dom, strawę, mogę odłożyć trochę talarów na gorsze czasy... Już mi się na chatkę z ogródkiem prawie, prawie uzbierało. A klientów wybieram samych miłych i niebrzydkich. Sprawiam im przyjemność, ale oni mi też nie żałują. No i zbieram dla was informacje. Kto by wam donosił, jakbym z tobą poszła?

Czarnowłosa westchnęła w odpowiedzi i pokręciła w milczeniu głową.

– Mam taką prośbę... – Terise zawahała się.

– Mów.

– Ten kapitan... On taki milusi jest. Zawsze był dla mnie dobry. Płacił z naddatkiem, a w pościeli...

– Do sedna, proszę.

– Nie zrób mu krzywdy, dobrze?

– Zadzwasz mnie, Terise. – Ali uśmiechnęła się ponuro.

– Proszę.

– Dobrze. Powiem wszystkim, że kapitana nie wolno uszkodzić.

Czerwonowłosa rozpromieniła się.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję. To ja już pójdę. Lepiej żeby nas nikt nie przyuważył.

Zbójniczka potaknęła. Rozeszły się błyskawicznie, każda w inną stronę.

Beneria stała jeszcze przez chwilę, patrząc za niższą z kobiet, i zachodziła w głowę, jak się robi takie włosy. Już miała wyjść z ukrycia, gdy zauważyła ruch u wejścia do stajni. Naszła ją myśl, że to zdumiewająco ruchliwe miejsce jak na tak wczesną porę dnia.

Chudy krasnolud wychynął z ciemnej wnęki. Rozejrzał się nerwowo i wybiegł z budynku.

Siwek za plecami dziewczyny zarżał cicho. Westchnęła i zerknęła na konia.

– Nie moja sprawa, chłopcze – szepnęła. – Moją sprawą jest wysupłać zza paska kilka kwartników, znaleźć przyzwoitą gospodę i najeść się do syta. Bywaj.

Głośne parsknięcie zatrzymało ją przed wyjściem. Odwróciła się ponownie.

– No, czego?

Ciemne oczy wgapiały się w oblicze kobiety jak żywy wyrzut sumienia.

– Oż, daj spokój! Też się podkuty święty znalazł! – zezłościła się krasnoludka. – I co się mnie pchać między rządcę i zbójców? Nie ślep tak! I bez tego wiem, że z rządcy skurwieli jakich mało i że ten kurdupel, co dziewczuchy podsłuchiwał, z ciepłą dupcią poleciał do jaśnie wielmożnego, żeby mu donieść. Pewnie zasadzkę wyszykują, a tę rudą końmi ciągać będą po placu, coby innych od stawiania się władzy odstraszyć. – Zamyśliła się na moment. – No wiem, że trochę szkoda. Żeby tak włosy wymalować... Ciekawe, jak to zrobiła, no nie? Ty wiesz? Może i masz rację. Pójdę i zapytam.

Siwek poruszył łbem, zupełnie jakby przytakiwał. Rozbawiona Beneria skinęła głową.

– Miło cię było poznać, chłopcze. A i za gościnę dzięki. Jakbyś kiedyś w moje okolice się zagalopował, odwzięczę się. Bywaj.

To rzekłszy, ruszyła w ślad za czerwonowłosą.

Zamtuz Pod Jurnym Jeleniem – taaa, się wykazał poczuciem humoru ten, co tak uroczo go nazwał – był niskim, niewielkim budynkiem stojącym na skraju mia-

sta. Nie miał najlepszej opinii, ale najgorszej też nie. Ot, przybytek, który w każdym mieście wyklinały porządne kobiety, a bez którego nie mogli się obyć ich mężowie. Beneria kolejny raz pożałowała, że przez dyskusję z wierzchowcem nie zdążyła dogonić ladacznicy. Nie chciała wrzeszczeć za dziewczyną, żeby nie zwrócić na siebie uwagi mieszkańców, przez co zobaczyła jedynie krwiste loki znikające za drzwiami lupanaru. Zatrzymała się więc krasnoludka z dziesięć kroków przed przybytkiem, walcząc z głębokim pragnieniem, by odwrócić się i odejść.

Och, nie żeby Benerię gorszyły cichodajki albo domy schadzek napełniały obrzydzeniem. Co to to nie. Każda panna – jak sądziła krasnoludka – miała prawo do własnej dupy, więc skoro chce nią handlować, nic nikomu do tego... Dopóki, rzecz jasna, handel jest dobrowolny, a należność właściwa i trafia do świadczącej usługi, a nie do jakiegoś łajdaka czerpiącego zyski z nierządu tejże. Z tego zaś, co Benerii było wiadomo, w Jurnym rządziła uczciwa gospodyni, pozwalająca dziewczętom zatrzymywać znakomitą część zarobku.

Co innego jednak nie gardzić ladacznicami, a co innego w biały dzień zastukać w zamtuzowe drzwi.

– Cholera, było spać dłużej. Nic bym nie wiedziała, a ten durny pchlarz sumienia by mi nie podrażnił – wyszeptała do siebie, po czym z ociąganiem podszła do wejścia. Stuknęła miedzianą kołatką i wzdrygnęła się na dźwięk uderzenia. Zdało się jej naraz, że całe miasto słyszy ten brzdęk i ino chwila, a wszyscy wychyną z domów, by się pukającej przyjrzeć. Podenerwowana uderzyła kolejny raz i jeszcze jeden.

– Dyc idę! – wrzasnął potężny stróż, otwierając drzwi.
– Wiem, że człeka może przypilić... – Urwał, kiedy zobaczył, kto stukał. Zamrugał zaskoczony. – A panna czego tu? – Obejrzał dziewczynę, dokonując błyskawicznej oceny. – Gospodyni będzie rada. Takiej jeszcze u nas nie było.

Beneria cofnęła się o krok. Zmarszczyła brwi, przetrawiając słowa. Naraz pojęła insynuację. Złapała się pod boki i ryknęła wściekle:

– I, cholera, nie będzie! Nie stać was na mnie! – Postąpiła krok w kierunku mężczyzny, a miała coś takiego w czarnych oczach, że ten, choć niemal dwukrotnie większy od krasnoludki, cofnął się gwałtownie. – Wybij to sobie z tej pustej, wielkiej, łysej łepetyny! Żadna kobieta z mojego rodu nie musiała na życie na plecach zarabiać! I NIE! – wrzasnęła, kiedy spróbował otworzyć usta. – Na kolanach też nie! Ze dwie złodziejki były! I owszem! I szczycę się, że były najlepszymi złodziejkami w Krainie! Kradły w najlepszych domach! I w pałacach! Żadna dupy za talary nie dawała i ja, kurwa, pierwsza nie będę! Zrozumiałeś?!

– Taaa, ja i z pół dzielnicy – wymamrotał wciąż nieco wystraszony wielkolud.

Dziewczyna rozejrzała się nerwowo. No tak, zapomniała.

– Wpuść mnie, do jasnej cholery!

– Ale po co? Skoro nie do roboty...

– Terise zawołaj. Nie, nie teraz! Najpierw wpuść mnie do środka! No już! – Odepchnęła wielkoluda i weszła pod jego ramieniem do lupanaru.

Drzwi zamknęły się za nimi. Mężczyzna, zaskakująco szybko jak na swoją posturę, zniknął z pola widzenia

Benerii. Stała więc samotnie, przytłoczona dusznym zapachem perfum i wszechobecną ciszą. Znać, że mieszkanki domu uciech odpoczywały po pracy. Jako że była osobą bardzo ciekawską, krasnoludka rozglądała się wokoło. Nie wiadomo przecież, czy jeszcze kiedykolwiek dane jej będzie oglądać lupanar od środka.

Korytarz był wąski i raczej mroczny. Ściany zdobiły ciężkie purpurowe draperie, haftowane złotą nitką w przedziwne esy-floresy migoczące w blasku świec. Zdumiewająco bogate ozdoby jak na zamtuz w niedużym mieście na pograniczu. Krasnoludka szybko wyceśniła je w myślach. Tak, zdecydowanie zdumiewające.

Rozmyślania Benerii przerwała czerwonołosa.

– Otrum mówił, że mnie szukacie.

– Szukam, nie szukam. – Zapytana wzruszyła ramionami. – Jakby nie jeden durny koń i miód, co się wracał, pewnie by mnie tu nie było.

– Nie rozumiem.

– I nie musisz. Zbieraj się. Czas goni. To szkaradne chuchro pewnie już do rządcy dotarło. Ino patrzeć, jak straż tu wpadnie.

– Co?!

– Oj, widzę, że tutejsza gospodyni nie szuka mądrych dupodajek. – Krasnoludka westchnęła. – Podśluchałam twoje ze zbójniczką pogaduszki. Nie bój się. – Machnęła ręką, kiedy dziewczyna się szarpnęła. – Przynajmniej nie mnie. Podśluchiwał was też taki jeden chudy i przyszczaty... Poznałam go, bom ze dwa dni temu tego cholernika na jaśnie wielmożnego dworze widziałam. Oj, nie przynosi chluby naszemu gatunkowi, oj nie. Franca

taka, że aż strach. Nie dość, że szpetniejszy niż troll, to jeszcze śliski jak piskorz. Jakaście się tylko rozstały, poleciał rządcy donieść. Rozumiesz?

– Niby dlaczego mam ci wierzyć?

Beneria przewróciła oczami.

– Ano nie musisz. Możesz siedzieć i czekać, aż straż w drzwi zastuka. Ino jak znam tego waszego rządcę, to na szybką śmierć bym na twoim miejscu nie liczyła.

Terise pobladła gwałtownie.

– No, widzę, że i ty trochę pana szlachetnego znasz. To jak będzie? Idziemy rozbójniczki ostrzec?

Czerwonowłosa stała, niepewnie wpatrując się w gościa. I zapewne nie ruszyłaby się jeszcze przez jakiś czas, gdyby gwałtowne uderzenia w zamtużowe odrzwia nie przerwały ciszy.

– Otwierać! – rozległ się nieco przytłumiony wrzask.

– O w dupę – zakląła Beneria. – Macie tylne wyjście? Rusz no się, dziewczyno! Wyjście?!

Ladacznica, jakby naraz się obudziła, pokiwała szybko głową.

– Chodź. – Odwróciła się i pobiegła korytarzem. Krasnoludka z niejakim trudem podążyła za nią.

Zbiegły po schodach do piwnicy. Terise zaryglowała za nimi wejście, a potem odsunęła stół i pociągnęła dźwignię schowaną pomiędzy koszami z jedzeniem. Cyknęła zapadka, zajęczał mechanizm, ściana drgnęła i, wznecając tumany kurzu, otworzyły się ukryte drzwi. Czerwonowłosa sięgnęła po kaganek, po czym bez słowa wskazała drogę.

Potężny Otrum właśnie wpuszczał straż, gdy ukryte wejście w piwnicy ponownie się zamknęło, pograżając

obie uciekinierki w półmroku rozświetlanym drżącym płomykiem kaganka.

* * *

Eloj Gurtan, z łaski najjaśniejszego Króla Królów rządca pogranicza, z prawdziwą przyjemnością przyglądał się nowej zabawce. Długonogie elfię stało wyprostowane z uniesioną głową, chociaż na granicy czarnych tęczęwek migotał strach. Jedynym odzieniem chłopca były rozpuszczone, sięgające bioder włosy. Dłonie młodzieńca związane za plecami, więc w żaden sposób nie mógł osłonić swej nagości.

Rządca uśmiechał się, sunąc wzrokiem po szczupłym ciele. Dobrze wydane pięćdziesiąt talarów. Bardzo dobrze. Świetna budowa, przyjemna buźka i jeszcze ten bunt w oczach. Łamanie ich woli zawsze jest najprzyjemniejsze. Tętno Eloja przyspieszyło, oddech się spłycał. Przymknął powieki. Jeszcze nie teraz. Powoli... Powoli.

Odetchnął głęboko. Cztery lata temu, kiedy niczym kundel z podkulonym ogonem opuszczał stolicę Krainy, w najśmielszych snach nie marzył, że zdoła osiągnąć tak wiele. Pakował się pospiesznie, a z całego należnego mu majątku zdołał zabrać jedynie dwa kufry złota i czterech służących. Wtedy był nikim, a zła sława ciągnęła się za nim jak fetor zgnilizny. I dlaczego? Bo zabawił się z elfem? Jakby toto miało rozum, duszę czy co tam ludzi odróżnia od zwierząt. Musiał przebyć cały kraj, ukrywać się miesiącami i dotrzeć aż na pogranicze, żeby się uwolnić od smrodu potępienia. Ówczesny

rządca przyjął zbiega z otwartymi ramionami, wspominając z rozrzewnieniem ojca Eloja, którego poznał na syrellskim uniwersytecie. Opowiadał o przygodach, jakie przeżył ze starym Gurtanem. Małżonka rządcy, śliczna elfia księżniczka, uśmiechała się z czułością do męża i sympatią do młodego gościa. Nawet młodziutka córka szlachetnych gospodarzy zerkała przyjaźnie spod opuszczonych rzęs. Eloj był im bardzo wdzięczny. Okazywał ową wdzięczność aż do chwili, gdy katowski toporek skrócił ojcowskiego przyjaciela o głowę. Nawet wtedy głośno powtarzał, że nie może uwierzyć w zdradę szlachetnego Eneo.

Nie, oczywiście, że nikt się nie domyślał, iż dowody tejże zdrady sfabrykował i przesłał Królowi Królów skromny i elegancki młodzieniec, którego potem sam władca namaścił na nowego rządcę. Nikomu też do głowy nie przyszło, że tenże młodzieniec bił i gwałcił wdowę po poprzednim rządcy, aż któryś strażnik nie upilnował nieszczęsnej kobiety. Pogranicze uznało, że księżniczka powiesiła się z rozpaczony po śmierci męża i zaginięciu jedynej córki. Poplecznicy nowego pana się o to postarali.

Eloj wstał z ławy i niespiesznie podszedł do zabawki. W zamyśleniu wyciągnął rękę, by przesunąć pieśczołtliwie po policzku elfa. Cztery lata. Tylko cztery lata, a tak wiele zmian. Pieniądze, szacunek i władza. Oszałamiająca moc decydowania o życiu i śmierci. Tu i teraz był równy bogom.

Uśmiechnął się z czułością, bardziej do własnych myśli niż do nowej zabawki. Nagle zamachnął się i uderzył.

Cios zachwiał chłopcem. Na bladej skórze wykwitł rumieniec. Podniecony rządcą zamachnął się ponownie.

Elf uskoczył. Padł na podłogę, przetoczył się i błyskawicznie podkurczył nogi, przesuwając związane ręce do przodu. Natychmiast, prostując kończyny, kopnięciem pozbawił Eloja równowagi. Kiedy mężczyzna padł z krzykiem, chłopiec doskoczył do niego. Zarzucił na szyję oprawcy skrępowane nadgarstki i zaczął dusić. Wrzask rządcy zmienił się w charkot. Sznur werżnął się w skórę, a kolana elfa wbiły w plecy...

Eloj ledwie usłyszał otwierające się drzwi i biegnącą straż. Sznur popuścił równie nagle, jak został zadziergnięty. Przez chwilę rządcą siedział nadal przerażony, oddychając z trudem. Dopiero kiedy powiększająca się kałuża krwi dotarła do nogawki eleganckich spodni, Eloj poderwał się z podłogi.

– Który?! – wycharczał wściekle, wpatrując się to w rozplątane zwłoki elfiego chłopca, to w trzech strażników. Odpowiedź była prosta. Tylko jeden z mężczyzn trzymał zakrwawiony miecz. Rządcą podszedł do sprawcy. Trzasnął go w twarz i wyszeptał: – Pięćdziesiąt talarów!

– On by was udusił, panie – próbował się tłumaczyć żołnierz.

– Pięćdziesiąt talarów – wycharczał ponownie Eloj. – Tyle mi zwrócisz. Chyba że przyprowadzisz mi następnego, takiego jak ten. Albo skończysz jak on. Rozumiesz?

Strażnik skinął głową.

– Wynoście się! I zabierzcie to ścierwo! – warknął rządcą, wychodząc z sypialni.

Dopiero za drzwiami, gdy nikt nie widział, Eloj Gurtan, postrach pogranicza, księżę wśród wybrańców, pan i władca, odpowiadający jedynie przed Królem Królów, zwymiotował ze strachu.

* * *

Nieliczne słoneczne promyki, którym udało się przeniknąć przez liściasty dach lasu, tańczyły na powierzchni strumyka. Muskały je złocistą jasnością, zatapiając świetliste paluszki w granacie wody. Kobieta klęknęła przy brzegu i pochyliła się. Ledwie poznała swoje odbicie. Przesunęła powoli ręką po krótkich włosach, a potem po odkrytym karku. Trzy lata temu nikt by nie uwierzył, że Ali Ohru Eneo może włożyć męskie odzienie i tłuc się po lasach, napadając na królewskie karawany. Zaśmiała się gorzko. Zmąciła powierzchnię wody i ochlapawszy twarz, wstała. Nikt. Nikt by nie uwierzył. Tak jak nikt nie poznałby jej dzisiaj. Cóż, życie bywa dziwne. I zmienne.

Las szumiał cicho. Słyszała każdy dźwięk z osobna. Łamiące się gałązki, szelest liści, wśród których buszował wiatr, pochrząkiwania dzikich zwierząt i wreszcie odległy szept strumyka. Tak, zwłaszcza woda działała na zmysły Ali. Śpiewała wprost w półelfie uszy, przypominała dziewczynie, że prababka przyszła za kochankiem do lasu wprost z morskich toni. Muzyka fal uwodziła i przyzywała, chociaż syreni czar nie działał już na to pokolenie Eneo. Owszem, kiedy Ali uciekała po śmierci ojca, z desperacji wybrała się nad morze i tam sprawdziła, czy po wejściu w toń nie wyrośnie jej

ogon. Nie wyrósł. Rodzina prababki nie upomniała się o krewną. Zostawili ją, tak jak i reszta bliskich. Poradziła więc sobie sama. Obcięła włosy, założyła męskie odzienie i weszła do lasu.

Wysokie „kijkijkijkij”, doskonale naśladujące zawołanie pustułki, rozerwało leśną ciszę. Półelfka uśmiechnęła się. Przyłożyła dłonie do ust i odpowiedziała w ten sam sposób. Pustułczy duet śpiewał przez chwilę, a potem zamilkł.

Spomiędzy drzew wyszły dwie kobiety, tak od siebie różne, jak to tylko możliwe. Niższa miała dwa chude warkoczyki. I były to jedyne chude rzeczy w jej osobie. Reszta była duża, bardzo duża. Generalnie kobietka wyglądała jak odziana w szare szmatki piłeczka. Druga ze zbójniczek, w jaskrawych szatkach, wysoka i przerażliwie chuda, szczyrzyła się szczyrbatym uśmiechem.

– Witojcie, Panie kapitanie. – Piskliwy głos należał do tłuściutkiej zbójniczki.

Kapitan uśmiechnęła się szeroko. Nie była sama. Miała nową rodzinę.

Jeszcze zanim dotarły do jaskini. Ali opowiedziała Kruszynce i Duszce, czego dowiedziała się od Terise. Wiatr szumiał wśród koron drzew, gdy szły znaną tylko sobie ścieżką ukrytą między ciasno rosnącymi drzewami. Duszka słuchała w milczeniu. Kiedyś była gadatliwą dziewczyną. Wysoką i radosną panną, tańczącą w kolorowych zapaskach przy wiejskim ognisku. Mówiono o niej, że świergocze jak skowronek, a i dzióbek się jej nie zamyka. Szczebotała bez ustanku i zawsze z uśmiechem.

Dopóki ojciec nie wydał jej za człowieka, który nie lubił skowronków.

Nauczyła się więc Duszka milczeć. Otwierała usta rzadko, a i tak kończyło się to boleśnie. Aż przyszedł dzień, w którym nie wytrzymała. Chwyła nóż, a potem, nie sprawdzwszy, czy została wdową, uciekła do lasu.

Kruszynka pobiegła za nią. Nie, nie miała szczególnego powodu. Nikt jej nie bił, nikt nie krzywdził, nikt nie straszył. Pobiegła za nieszczęsną chudziną, bo nie miała nic lepszego do roboty. Nie była nikomu potrzebna, a i ona nikogo we wsi nie potrzebowała. Tłuściutkiej kobiecie doskwierała nuda codzienności, marzyły się przygody. Zmarły ojciec nauczył ją czytać, a w spadku zostawił książkę. Każdego dnia przed snem Kruszynka czytała o wypadkach młodego i pięknego rycerza, a później, nim zasnęła, wymyślała własne. Rankiem zaś, zamiast całować księcia z bajki, szła doić krowy.

Kiedy więc pewnego wieczoru ujrzała sąsiadkę biegnącą do lasu z nożem w dłoni, uznała, że może wśród drzew spotka ją jakaś przygoda.

Minęły już dwa lata od spotkania z Ali, drużyna nieustannie się powiększała, a Kruszynka ceniła każdy dzień wśród nowych sióstr. Niestety widoki na owego wymarzonego księcia z bajki miała raczej marne. Zdarzyło się wprawdzie, raz czy dwa, że obrabowały szlachetnie urodzonego i nieszpetnego młodzieńca. Z niewiadomych przyczyn jednak ówże paniczyk nie rwał się do uwodzenia czy całowania krągłej dziewczuszki.

Uśmiechnęła pod kulfoniastym nosem. A co tam! Grunt, że na brak przygód nie mogła narzekać. Potem zerknęła na chudą przyjaciółkę, by ostatecznie utkwic wzrok w przywódczyni leśnej bandy. Plan rysowany

przez Ali jak zwykle wydawał się nie mieć wad. Choć półelfka zawsze wymyślała zasadzki sama, nigdy nie narzucała własnych pomysłów. Teraz też czekała je dyskusja w jaskini.

Splątane pędy sezamu porastające skały rozsunęły się przed kobietami. Były na miejscu.

* * *

Płomyk kaganka zadrżał poruszony podmuchem. Korytarz stawał się coraz węższy. Uciekinierki nie mogły już iść obok siebie. Krok za krokiem przeciskały się ciasnym tunelem. Po jakimś czasie musiały się schylić, bo i sufit znacznie tu opadał. Terise szła pierwsza i to ona krzyknęła na widok wąskiego, malutkiego wyjścia.

– Cicho! – warknęła Beneria. – Cholera wie, kto tam na nas czeka.

Czerwonowłosa zasłoniła usta i potaknęła. Zatrzymały się przed jasną plamą. Terise wstrzymała oddech, a potem powoluteńku wysunęła głowę. Rozejrzała się i odetchnęła głęboko.

– Nikogo nie ma – powiedziała i nie czekając na towarzyszkę, wcisnęła się w otwór. Beneria poszła w jej ślady.

Wyjście z tunelu okazało się piwnicznym okienkiem jednej z obdrapanych kamienic na obrzeżach miasta. Ledwie kilka kroków dalej znajdowała się stajnia, w której obudziła się krasnoludka. Dziewczyna uśmiechnęła się niewesoło, tęsknie spoglądając w tamtym kierunku. Gdybyż tylko spała chwilę dłużej.

– Będzie tak – zaczęła. – Pójdziemy do tej twojej zbójniczki. Normalnie miałabym was w dupie. Ruszyłabym

do jakiejś karczmy, zapłaciła ze dwa kwartniki, zjadła polewki... Polewka dobrze robi na kociokwik... Sama byś se tamtej panny szukała. Tak by było, gdyby mnie ten wasz wielkolud dobrze nie obejrzał. Pewnikiem doniesie rządcy, więc moje w tym mieście odwiedziny dobiec muszą końca. A skoro muszę iść, to równie dobrze mogę iść z tobą. No więc pójdziemy do zbójniczki, powiemy w czym rzecz, a potem się pomyśli.

– Chcesz iść do lasu? Na nogach? – zdumiała się czerwonołosa.

Krasnoludka westchnęła ciężko.

– No niby i racja. Zanim dojdziemy, dziewczuchy dawno już wyjadą. – Zamyśliła się.

– Tak, właśnie to mnie martwi – przytaknęła ladacz-nica nieco ironicznie.

– I pewnie też to, że w takich pantofelkach daleko byś nie zaszła. – Beneria wykrzywiła usta. – Chodź, mam pomysł.

Kiedy weszły do stajni, siwek przeżuwał obrok. Krasnoludka uśmiechnęła się złośliwie.

– Widzisz, chłopcze... – Poklepała koński kark. – To chyba jednak miłość. Albo przeznaczenie. Albo cholera wie co. Przyjdzie nam jednak spędzić razem trochę czasu.

* * *

– Jaśnie wielmożny panie, bo to kazaliście... no to zem kapitana pilnował. On zawsze po robocie do tego zamtuza chodzi. Tam przeróżne kurwy, jaśnie wielmożny, ale kapitan zawsze do jednej zagląda. Niezła dupa, nie ma co, sam bym... ale ona wybredna, ta kurwa, zna-

czy się, a gospodyni dziwce pozwala klientów wybierać. Dziw, ale pozwala. No więc żem poszedł za kapitanem. Stróż tam dobry człek jest i mnie wpuścił. Nie, nie żeby darmo. Pół talara dać skurwielowi musiałem. Ale warto było. Takie rzeczy ta dziwka potrafi... Oj, jaśnie wielmożny panie, co żem się napatrzył... Ze dwa razy sam... No wiecie, panie. Bo tam w każdej izbie dziura taka, żeby co chętniejszy, a śmiałości niemający klient, to se popatrzeć albo posłuchać mógł. Jak oni już skończyli, to się kapitanowi japa otwarła i jak nie zaczął opowiadać, gdzie i ile to wieź złota będzie... A kurwa udawała, że nic ją to... i tak kapitana polectała, tak mu dogodziła, że dureń jeden wszystko jej opowiedział. Potem się kapitanowi zdrzemnęło. Wziąłem wtedy jedną dziwkę, żeby i mnie dobrze zrobiła, bo trudno było tak ino patrzeć i słuchać. Cały czas jednak uważałem, czy kapitan nie wychodzi. Chyba mu jednak ta kurwa coś do miodu dosypała, bo chłop padł jak nieżywy. Za to kurwa ino ablucji dokonała, odziała się i wio w miasto. Musiałem tę moją odprawić i ledwiem zdążył za kapitanową. No dyc, żem zdołał. Schowałem się w sam czas, żeby cichodajkę przydybać, jak ze zbójnikiem gada. Tak że w lesie już pewnie wiedzą, którędy złoto pojedzie. Jak się kurwa ze zbójnikiem rozstała, to żem od razu do was, jaśnie wielmożny panie, w te pędy. Ino po drodze chłopców wysłałem, żeby cichodajkę zgarnęli, zanim ucieknie. Pewnie już ją prowadzą. Dobrzem się sprawił? Zadowoleniście?

Eloj Gurtan, z łaski najjaśniejszego Króla Królów rządca pogranicza, przyglądał się z obrzydzeniem chude-

mu krasnoludowi. Nie, nie był zadowolony. Jego niezadowolenie nie brało się jednak z jakości służby donosiciela. W tym mały Strun świetnie się sprawdzał. Dzięki niemu rządcą zawsze był na bieżąco, znał wszystkie plotki, mógł uprzedzić każdy atak. Tak jak teraz. Trudno więc było narzekać na efekty działań szpiega. Eloj Gurtan nie był zadowolony ze sposobu, w jaki owe informacje były zbierane. A także, być może przede wszystkim, z osoby zbieracza.

To straszne, że musiał używać takich okropnych, niskich i brzydkich istot. Straszne, że musiał przebywać z nimi pod jednym dachem.

– Panie? Dobrzem się sprawił? – dopytywał krasnolud.

Twarz rządcy wykrzywił straszliwy grymas.

– Dobrze, sługo – odparł tonem człowieka, który właśnie sobie uświadomił, że to miękkie coś, w co wdepnął, to nie płatki kwiatów. – Możesz iść. Ochmistrz wypłaci ci zwykłą należność.

Strun zgięty w ukłonie cofał się ku drzwiom. Zamiast jednak wyjść, przystanął wpatrzony w rządcę.

– A bo, jaśnie wielmożny panie – zaczął z wahaniem – ja se tak umyśliłem... Se tak umyśliłem...

– Mówcie wreszcie!

– Bo na co wam taka cichodajka? Znaczący ja wiem, że trza ją porządnie ukarać... Ale może mnie byście ją dali, co? Taki dodatek za wierną służbę. Już ja znajdę karę odpowiednią dla kurwy. – Czarne oczy pod krzaczastymi brwiami wgapiały się błagalnie w rządcę. Ten zaś cofnął się o krok, jakby odległość od sługi zdała mu się naraz zbyt mała. Wzrok szlachcica pociemniał

wstrętem. Przez długą chwilę milczał. Krasnolud w tym czasie cofał się powolutku, śmiertelnie wystraszony. Wreszcie poczuł za plecami drzwi i sięgnął ku nim.

Jego pan w tym czasie odwrócił zniesmaczone oblicze. Szybko przekalkulował zyski, które przynosi mu zatrudnianie oślizgłego brzydala. Wykrzywił się okrutnie, ale powiedział:

– Ladacznica jest twoja, a teraz wynoś się! Czekaj! Wezwij mi oficera straży. Tylko nie tego idiotę kapitana.

Kiedy Strun wyszedł, Eloj pogрузzył się w rozmyślania. Miał oto dwa problemy. Musiał urządzić zasadzkę, dzięki której pozbędzie się rozbójników grabiących regularnie jego gości. I znaleźć odpowiedniego następcę obleśnego kurdupla.

* * *

Beneria zacisnęła palce na wodzach i rzuciła za siebie wściekłe spojrzenie.

– Jak to, cholera, nie wiesz, gdzie są?!

– No nie wiem – odpowiedziała siedząca za krasnoludką dziewczyna. – Nie chciałam wiedzieć. Dla bezpieczeństwa. Kiedy potrzebowałam im coś przekazać, szłam do lasu, do ciotki Nuny.

– No to dupa zbita – warknęła Beneria, pochylając się nad końskim karkiem. – Na co mi przyszło? Taaa, rzyj, durnoto. Jakbyś mnie, cholera, nie obudził, a potem nie gapił się tymi wielkimi oczyskami, żarłabym se pyszną polewkę albo może i jakie piecyste, a nie włóczyła się po lesie z niezbyt rozgarniętą pannicą.

– Hej! – fuknęła Terise.

– No co? Najbystrzejszaś nie jest. Pyszczaty krasnolud laźł pewnie za tobą od lupanaru. Przyprowadziłaś go wprost na spotkanie. I pewnie byś już gniła w lochu dzięki tej głupocie, gdyby nie ten tu obecny wałach. A ty nie rzyj po próżnicy. Będę ci wałachowała, kiedy zechcę. Nic to. Skoro nie wiesz, gdzie zbójniczka, pojedziemy do tej twojej ciotuchny. Wskaż ino drogę.

Jechały w milczeniu, jeśli nie liczyć cichego parskania siwka i nieskładnego mamrotania Benerii. Minęło sporo czasu, nim dotarły na niewielką polanę, gdzie pod potężnym, rozłożystym dębem stała maciupienka chatynka. Przed nią, na rozpadającym się zydelku, siedziała staruszka w tęczowej chustce i równie barwnym kubraku. Nie wstała na widok gości, a jedynie kiwnęła głową.

– Witajcie, córcie, a co was tu przywiało? – zapytała starczym głosem, skrzeczącym jak źle naoliwione zawiasy. Pochylone ciało staruszki drżało lekko, a i głowa kiwała się w rytm wypowiedzi.

Terise zeskoczyła z konia, po czym podbiegła do kobiciny.

– Och, ciotko, źle się stało! – krzyknęła płaczkliwie. – Ali idzie wprost w pułapkę!

Krasnoludka ze zdumieniem przyglądała się właścicielce kolorowego stroju. Oto bowiem pochyłona, zgrzybiała babulinka wyprostowała się gwałtownie. Wstała błyskawicznie, a trzęsące się członki nagle przestały tańczyć. Nuna zrobiła krok ku czerwonowłosej i złapała ją za ramiona. A kiedy wstała, okazało się, że wzrostem góruje nie tylko nad Benerią czy Terise, lecz także zapewne nad wieloma całkiem wysokimi mężczyznami.

– Jak to w pułapkę?! – Głos ciotki stał się naraz dzwięczny i mocny.

– Nie zauważyłam go. Nie zauważyłam... Moja wina. Powinnam patrzeć... – Terise rozplakała się. Łkała, próbując coś powiedzieć.

Nuna westchnęła i spojrzała na Benerię, a zrobiła to tak sprytnie, że krasnoludka nie zdołała dojrzeć twarzy ukrytej za pstrokatą chustą. Dziewczyna zmarszczyła brwi, bo naraz odniosła takie dziwne wrażenie, że ktoś wlaź w jej duszę i gmera. Dopiero po chwili odpowiedziała na niezadane pytanie:

– Rozmowę waszej rozbójniczki z tą tutaj fontanną podsłuchał szpieg rządu. Jaśnie wielmożny pewnie wysłał ludzi, żeby raz na zawsze pozbyć się zbójniczego kłopotu. Trzeba więc szybko zbójców ostrzec, a już straciłyśmy sporo czasu. Rzeknijcie mi, gdzie ich szukać, to może zdążę.

Ciotka skinęła głową. Puściła zapłakaną Terise i bez słowa poszła między drzewa za chatą. Po chwili wróciła, prowadząc za uzdę potężnego karego ogiera. Siwek pod Benerią parsknął niespokojnie, przestępując z nogi na nogę. Krasnoludka poklepała go po karku.

– No, ja na twoim miejscu też poczułabym okrucieństwo – wyszeptała z błyskiem ironii w oczach. – Przy stojniaczek. Za takim to się kobyłki oglądają. Spokojnie, malutki – dodała, kiedy koń wierzgnął, coraz bardziej zdenerwowany. – Ja będę ci wierna. Nie dla mnie takie wielgachne ekscelencje.

Kiedy Beneria uspokajała swojego wierzchowca, starszuszka jednym skokiem dosiadła karego. Potem wycią-

gnęła rękę do łkającej czerwonołosej i bez najmniejszego wysiłku pomogła jej wsunąć się na siodło za sobą.

– Jedźmy! – rzuciła do krasnoludki i pognała przed siebie.

* * *

Duszka wierciła się nerwowo w siodle, co rusz zerka-
jąc na jadącą obok Ali. Na tle soczystej zieleni krzewów
porastających brzegi wyjścia z jaru barwne odzienie
chudej rozbójniczki niemal raziło w oczy. Dziewczy-
na rzadko dosiadała konia, więc i teraz nie mogła się
doczekać, kiedy wreszcie będzie mogła wyjść z siodła.
To właśnie miały znaczyć spojrzenia rzucane przywód-
czyni. Były niemyym błaganiem, by skończyć już jazdę
i wreszcie wyznaczyć miejsce zasadzki. Wcześniej, gdy
tylko Ali wróciła, ustaliły, że większość z czterdziestki
kobiet zasadzi się na wyładowany złotem wóz u wyjazdu
z jaru, a pozostałe zsuną się po zboczach leśnego osu-
wiska, by odciąć ewentualną drogę ucieczki. I – ku roz-
paczy Duszki – Ali uznała, że kochająca kolory dziew-
czyna pojedzie przodem, a nie będzie, jak Kruszyńska,
czekać na wzniesieniu. Tak, Kruszyńska nie musi telepać
tłustego tyłka w niewygodnym siodle, bojąc się, że ja-
kieś głupie bydlę zrzuci ją przy pierwszej okazji. Niby
Ali nikogo nie faworyzuje, ale przecież wszyscy wiedzą,
że ustępuje we wszystkim temu małemu tłuściochowi.

Poprawiła się kolejny raz, czując, jak żłobienia w sio-
dle ukradzionym przed miesiącem bogatemu kapłanowi
dają się we znaki chudym pośladkom.

– Przestań się wiercić, bo wreszcie spadniesz – fuknę-
ła gniewnie przywódczyni.

– Jakby bogowie chcieli, żebyśmy biegali na czterech nogach, to daliby nam cztery nogi – odwarknęła Duszka. – Kto to widział, żeby siadać na grzbiecie takiego wielkiego bydłęcia?

– Jakby to było pierwsze wielkie bydłę, którego dosiadłaś – zakpiła inna rozbójniczka, doganiając je. – To jak, Ali? Zaczekamy tutaj?

Półelfka rozejrzała się. Zatrzymały się w miejscu, w którym ściany jaru opadały gwałtownie, tworząc tym samym świetne miejsce na kryjówkę. Wokoło szumiał las, a gdzieś w oddali przyzywająco szeptał taki sam strumyk jak ten, którego wyschniętym korytem przyjechały. Rozłożyste korony drzew tworzyły liściasty dach wysoko nad rozbójniczkami i jarem ograniczonym wysokimi ścianami ziemi upstrzonej pojedynczymi krzewami. Tu zaś, gdzie jar się kończył, krzewy i drzewa rosły gęsto – można było wejść między nie i zupełnie zniknąć.

– Tak, to dobre miejsce – zawyrokowała półelfka. Zeskoczyła z wierzchowca i poprowadziła go między drzewa. Uszczęśliwiona Duszka poszła w jej ślady. Prowadziła konia na sztywno wyprostowanej ręce, starając się odsunąć zwierzę jak najdalej od siebie.

– Nigdy więcej – mamrotała pod nosem, całkowicie świadoma, że nie ma szans na spełnienie złożonej sobie obietnicy. Praktykowały rozbój od wielu miesięcy, napały na karawany, na samotnych bogaczy, na wozy przewożące daninę do i od rządcy. Wierzchowiec w takiej pracy był niezbędny. Zdecydowanie pomagał w ucieczce.

Weszła między drzewa. Prowadzona przez nią klacz parskiała niezadowolona, kiedy gałęzie smagały jej boki.

Wierzchowce pozostałych rozbójniczek zachowywały się podobnie. Przez chwilę, bo potem kobiety przywiązały zwierzęta i usiadły między krzakami, by czekać.

* * *

Keru siedział pomiędzy innymi żołnierzami ściśniętymi pod płachtą wozu i dumał nad swoim życiem. Nie żeby było nad czym rozmyślać. Urodził się, poszedł do gwardii i służył rządcy. Było mu dobrze. Żołd może i nie był za wielki, ale oprócz tych kilku talarów gwardziści mieli darmowe dziwki w lupanarze Pod Jurnym Jeleniem i wyżywienie w gospodzie u Grubej Tośki. Nikt zaś tak nie gotuje jak ichniejsza kucharka. Większą część żołdu wysyłał matce i pięciu siostram. Odkąd przed rokiem ojciec przeniósł się do przodków, to właśnie Keru utrzymywał rodzinę. Dzięki niemu dwie z pięciu sióstr znalazły mężów, a i o przyszłość pozostałej trójki jeszcze niedawno nie musiał się martwić.

Niedawno, bo teraz już się martwił. Rządca powiedział, że gwardzista musi mu zwrócić pięćdziesiąt talarów. Pięćdziesiąt! To prawie pięćioletni żołd! Jeśli odda go jaśnie wielmożnemu, to dla sióstr na wiano nie będzie.

Zadumał się więc Keru nad przyszłością swojej rodziny. A rozmyślając, szukał we wspomnieniach jakiegoś elfiego młodzieńca. Gdybyż bowiem znał takowego, może rządca darowałby tych pięćdziesiąt talarów. Niestety, żadnego ostroucha w jego wsi nie było. Pech...

Wóz podskakiwał na kamieniach. Gwardziści zaciskali paluchy na rękojeściach mieczy. W kompletnej ciszy, w tajemnicy przed eskortującymi wóz jechali na spotkanie zbójców.

* * *

Pochylona nad końskim karkiem Beneria wyklinała głośno, kiedy chłostały ją kolejne gałęzie. Pędząca na złamanie karku Nuna co rusz znikwała z pola widzenia krasnoludki i ta już z pięć razy zastanawiała się, po cholere wciąż jeszcze pędzi w ślad za dziwną kobietą. Mogła zostać już przy jaskini, kiedy pojęły, że się spóźniły, bo rozbójniczki opuściły schronienie. Mogła! Zachciało jej się jednak sprawdzać, co takiego ukrywa Nuna pod kolorową chustą, że aż biedną krasnoludkę w duszy zadrapało. Przypód się zamarzyło, niech ją tak rzyć boleć nie przestanie! To i popędziła za karym ogniem. Dyc na nikogo narzekać nie może, ino na swoją głupotę. O właśnie, kolejna gałąź chlasnęła osłonięte cienką tkaniną udo. Będą ślady, jak nic. No niby i tak ud nie ma komu pokazywać, ale, cholera, żal i boli... Zaklęła ponownie, tym razem cicho, a potem, leciuteńko oderwawszy głowę od końskiego karku, spojrzała przed siebie. Czarny ogon ciotczyńskiego konia znów pojawił się w zasięgu wzroku, a nad nim szarpane wiatrem czerwone włosy Terise. Ladacznica dzielnie trzymała się rozłożystych pleców dziwacznej staruszki, chociaż zapewne i jej dokuczał pęd.

Siwek, jakby nie czuł zmęczenia, coraz mocniej wyciągał nogi. Drzewa zaczęły się przersedzać i rozdzieliły w dwie strony. W płaskiej dotąd okolicy pojawiły się wzniesienia. Wierzchowce wpadły między dwa porośnięte mchem pagórki wyglądające jak szmaragdowe osuwiska.

Dotarły do Zielonego Jaru.

Nuna wyraźnie zwolniła. Wyschnięte koryto strumienia, którym teraz jechały, stało się wąskie, a podłoże nierówne i kamieniste. Galop byłby niebezpieczny, a one i tak dotarły na miejsce. Krasnoludka jadąca za ciotką odetchnęła. Wyprostowała się w siodle i rozejrzała. Wiatr szumiał między pniami nielicznych drzew, a ptaki świergotały wśród baldachimu rozłożystych koron.

Już ucieszyła się, że zdążyły przed potyczką, gdy usłyszała krzyki.

Uniosła się w siodle. Świst tuż przy uchu ponownie posadził ją na końskim grzbiecie. Wrzasnęła, gdy kolejna strzała przemknęła obok skroni.

Przerażony siwek zatrzymał się w miejscu, a Beneria, wyrzucona z siodła, śmignęła ponad pochylonym końskim karkiem. Lecąc, pomyślała jeszcze, że trzeba było jednak zostać w stajni.

A potem słodka ciemność pochłonęła wszystkie krasnoludzkie rozmyślania.

* * *

Nuda nie zdążyła ich dopaść. Ledwie zajęły pozycje wśród traw na obu wzniesieniach jaru, usłyszały dobiegające z daleka rzenie koni i turkot kół na kamiennym dnie jaru. Kruszynka wyteżyła wzrok, wypatrując kawalkady z drogocennym ładunkiem. Tak, to oni. Dwóch jeźdźców na przedzie. Potem ten kapitan, co to Ali absolutnie zakazała go tknąć, później duży, naprawdę duży wóz, a na końcu jeszcze dwóch jeźdźców. Znaczący pięciu zbrojnych i woźnica. Rzeczywiście rządca nie spodziewał się ataku. Dziwne. Bardzo dziwne.

Okrągłutka kobietka podrapała się po głowie.

Zdumiewająca niefrasobliwość, pomyślała. Jak znała jaśnie wielmożnego – nie, nie znała go zbyt dobrze, ale okradały go tak często, że każdej wydawało się, iż Gurtan nie ma dla nich tajemnic – to zupełnie do niego niepodobne zachowanie. Nawet jeśli możnowładca nie spodziewał się napaści, powinien wystawić przynajmniej mały oddział. Tak z dziesięciu żołnierzy, może nawet dwudziestu. Zawsze tak robił. Dlaczego więc tym razem wysłał młodego oficera tylko z czterema podwładnymi?

Bardzo dziwne.

Rozbójniczka uniosła trochę głowę. Na przeciwnym wzniesieniu czekała szóstka dziewcząt. Ledwie je dostrzegła, tak dobrze się schowały. Dobre były, oj, dobre. Doskonaliły się od miesięcy. Kruszyńska uśmiechnęła się krzywo. Z miejsca, w którym leżała, nie mogła dojrzeć pozostałej grupy, która wraz z Ali czekała u wylotu z jaru. Nie musiała jednak widzieć, żeby mieć pewność, że poradzą sobie bez trudu...

Naraz Kruszyńska zmarszczyła brwi. Coś w olbrzymim wozie przyciągnęło jej wzrok. Płótno okrywające drogocenny ładunek poruszyło się. Może to wiatr? Może... Skupiła wzrok. Nie, wyrzucenie w tkaninie nie wyglądało na podmuch. Wyglądało zupełnie... zupełnie jakby ktoś wypychał płótno głową.

Wóz właśnie mijał ich kryjówkę, gdy dziewczyna poderwała się nagle. Nie bacząc na to, że ją dostrzeżę, krzyknęła. Pozostałe rozbójniczki również wstały. Z wrzaskiem zsuwały się po zboczu.

Zamykający kawalkadę żołnierze błyskawicznie zawrócili konie i wydobyli miecze z pochew. Unieśli broń. Zakrzyknęli i rzucili się w stronę kobiet.

Nim jednak pierwszy z mężczyzn zdołał dosięgnąć rozbójniczek, stojąca wciąż na wzniesieniu Długa Nija naciągnęła cięciwę i spokojnie wymierzyła. Strzała śmignęła z sykiem i wbiła się w odstoniętą prawicę gwardzisty. Broń opadła, po czym z brzękiem uderzyła o kamienie. Mężczyzna zawył rozpaczliwie.

– Zabij! – poleciła Kruszyńska strzelającej. – Nie cackaj się!

Nija ponownie naciągnęła cięciwę. Kolejna strzała przeszła powietrze. Tym razem dziewczyna celowała w pierś mężczyzny. Grot trafił, ale odbił się od pancerza. Łuczniczka znowu wycelowała...

Kruszyńska nie patrzyła na nią dłużej.

Płachta spadła z wozu.

* * *

Hałas z tyłu zwrócił uwagę młodego kapitana. Odwrócił się, ale wielki wóz zasłaniał widok. Dziwnie wielki. Do przewozu pięciuset talarów wystarczyłby znacznie mniejszy pojazd. I jeszcze to wysokie zadaszenie...

Krzyki nasilały się. Oficer przestał zachodzić w głowę, dlaczego nie pozwolili mu obejrzeć ładunku, i wychylił się. Niestety ściany jaru zasłaniały widok. Były też na tyle blisko, że koń nie zdołałby się precyzyjnie między nimi a wozem. Młodzieniec wolno wyciągnął miecz z pochwy i zsunął się z siodła.

W chwili, w której kapitan wcisnął się między wóz a zielone osuwisko, płócienna płachta opadła. Zdumiony

oficer zamarł, wpatrując się w dwudziestkę uzbrojonych żołnierzy siedzących na drewnianych ławeczkach. Gwardziści szybko odzyskali rezon, wyskakując jeden po drugim, uzbrojeni i gotowi do ataku. Kapitan powiódł za nimi wzrokiem, nie drgnąwszy nawet. Przez metalowy szkielec zadaszania widział rozbójników zbiegających zboczami. Chuda elfka na szczycie celowała z łuku, gdy wymierzona przez jednego z żołnierzy strzała przeszła jej pierś. Wśród szczęku broni i krzyku walczących i tak by tego nie usłyszał, ale był pewien, że dziewczyna nawet nie jęknęła.

Powoli ruszył ku walczącym, wciąż nie rozumiejąc, co się wokół niego dzieje. Za jego plecami pozostałe zbójniczki wyskoczyły z ukrycia, by dołączyć do sióstr. Nawet ich nie zauważył, zajęty oglądaniem wydarzeń w jarze.

Chociaż kobiety radziły sobie całkiem nieźle, żołnierze i tak pokonywali je bez trudu, nie ponosząc większych strat. Nie wydawało się też, by mieli jakieś opory przed ranieniem czy zabijaniem niewiast.

Jakoś nie wydawało się to kapitanowi właściwe. Zatrzymał się. Obok niego przebiegły rozbójniczki. Nie dostrzegł ich. Zobaczył za to potężnego jeźdźca w barwnej chuście dosiadającego karego ogiera. Za karym biegł siwek z krasnoludką w siodle. Oba wierzchowce zbliżały się ku walczącym. Pierwszy konny uniósł się w strzemionach i wypuścił wodze. Oficer nie dowiedział się jednak, dlaczego tamten to zrobił. Jeden z gwardzistów, dzierżący łuk, również dojrzał nadjeżdżających. Błyskawicznie wycelował...

Jeździec nie zauważył strzelca, bo w tejże chwili jadąca za nim krasnoludka, wrzeszcząc, wyleciała z siodła. Zatoczyła półkole nad końskim łbem i ciężko opadła na kamienistą ziemię. Krzyk kobiety przyciągnął uwagę poprzedzającego ją mężczyzny. A kiedy się odwracał, dosięgła go strzała gwardzisty.

Krzyknął, ściągnął wodze. Kary koń błyskawicznie wytracił prędkość. Mrugnięcie oka później trzy kolejne strzały wypuszczone przez gwardzistów trafiły w pierś konnego.

Kapitan patrzył na zsuwające się z końskiego grzbietu bezwładne ciało i rozpaczliwie trzymającą się go czerwono włosą, która zleciała z karego wraz z postrzelonym mężczyzną.

– Terise? – wyszeptał zdziwiony młodzieniec.

* * *

Stal śpiewała wokoło, siejąc śmierć. Keru walczył od ruchowo, ale lata ćwiczeń sprawiały, że robił to bardzo skutecznie. Parował uderzenia, cofał się, nacierał, odskakiwał, kuczał i skakał w górę. Był najlepszym szermierzem w całym oddziale i właśnie to udowodniał. I robił to absolutnie bezmyślnie, bo wciąż wracające wspomnienie pięćdziesięciu talarów nie pozwalało mu o sobie zapomnieć.

Kolejne cięcie. Skok, wycofanie, atak, raz, drugi i jeszcze pchnięcie. Krzyk. I następna.

Dostrzegł tego elfa i prawie roześmiał się ze szczęścia. Ostrouchy był jak modlitwa wysłuchana przez dobrotliwe bóstwa. Krótkie czarne włosy, szczupła wysoka sylwetka, ciemne ogromne oczy. Prawie jak tam-

ten. W wyobraźni gwardzisty śmignęły majątek, który mógłby zaoszczędzić, i całkiem przyzwoite wiano dla siostr. Odetchnął głęboko, pchnął gwałtownie kolejną atakującą go rozbójniczkę i rozejrzał się.

Elf walczył. I szło mu całkiem nieźle. Jak to zrobić... Jak go nie zranić? Myśli kotłowały się jak szalone. Keru przyjrzał się ponownie walczącemu elfiátku.

A potem skoczył.

* * *

Ciemność odchodziła bardzo powoli. Nie ustępowała jednak jasności, ale jakiejś szalonej karuzeli. Świat wirował z obłądną prędkością. Beneria wracała z mroku, ale wciąż bała się otworzyć oczy. Otaczała ją cisza. Spodziewała się okrzyków, szczęku broni i wszystkich tych dźwięków, które zwykle towarzyszą walce. Zamiast tego słyszała... Nic nie słyszała. I to ją przerażało. Nie, nie otworzy oczu...

Śliskie, mokre, ciepłe i tylko nieco szorstkie liźnięcie wyrwało ją z rozmyślań. Powoli i z wielką niechęcią uniosła powieki.

– Taaa – wycharczała – szło się spodziewać, że to będziesz ty. Najpierw, cholera, zrzucasz mnie, a potem się czulisz, co? Myślałby kto, żeś taki łakoć. I nie gap się tak. Nie uwierzę w te twoje udawane wyrzuty sumienia.

Podniosła się trochę, wspierając na łokciach. Siwek trącił nosem policzek krasnoludki.

– Jasne, jasne. Już, cholera, wstaję. O niczym innym tak nie marzę jak o tym, żeby znów posadzić dupę w twoim siodle i dać sobie ją obtłuc w galopie po ka-

mieniach. Nie macaj mnie! A sio! Durny wałach. A tak! A będę sobie wałachowała ile zechcę, i nie ma co robić takiej obrażonej mordki. I co? I gdzie lezie? Podejdzie tu, a już. Muszę się czego chwycić, żeby wstać. Kurwa, ale mi we łbie gra. Piętnastu zacnych doboszów na ogromnych, cielejącą skórą powleczonych bębnach.

Siwek pochylił głowę, a Beneria, uchwyciwszy wodze, podciągnęła się. Z trudem złapała równowagę. Świat wirował, a w głowie straszliwie łupało. Przymknęła na moment powieki. Koń zarżał cicho i znów łagodnie trącił ją w ramię.

– Czego? – warknęła, ale otworzyła oczy.

I rozejrzała się.

Wokoło leżały zwłoki rozbójniczek. Ich krew znaczyła kamienie i wsiąkała w ziemię. W zaciśniętych dłoniach wciąż trzymały krótkie miecze i łuki. Szmaragd trawy znaczyły krwawe strumyki. Okrągła i niska kobieta rozcięta wpół niewidzącymi oczyma wpatrywała się w niebo. Ledwie kilka kroków dalej zieleń złamała wielobarwna plama sukni chudej rozbójniczki. Zamknięte oczy w przeraźliwie szczupłej twarzy pozwalały sądzić, że dziewczyna śpi.

Beneria postąpiła krok, rozglądając się nerwowo. Nigdzie nie widziała czerwonych włosów ladacznicy. Dojrzała za to kogoś innego. Ciotka Nuna leżała na boku, pomiędzy innymi rozbójniczkami. Z potężnego ciała wystawały cztery strzały, a wiatr poruszał długimi piórami ich lotek. Krasnoludka podeszła do niej. Uklękła i ostrożnie odwróciła ją na plecy. Wielobarwna chusta zsunęła się z głowy Nuny.

– Wyjmij. – Szept niemal poderwał Benerię do ucieczki.

– Cholera, żyjesz! – sapnęła zdumiona.
– Żyję, jasne, że żyję. Możesz wyjąć to cholerstwo?
– Mężczyzna w kolorowej chuście ledwie mówił, ale wyraźnie był poirytowany.

– Słuchaj... cioteczko, to nie jest dobry pomysł. Nie żebym się na tym znała, ale...

– Wyjmij. – Jasne, niemal białe tęczówki wyglądały jak oszronione. – Już!

– Jak se tam chcesz. – Krasnoludka chwyciła strzałę.

– Nie! – Duże palce zacisnęły się na jej dłoni. Mężczyzna odetchnął boleśnie. – Najpierw przepchnij. Odłam grot. Potem wyjmij.

– Oszalałeś?

Odpowiedzi nie było. Powieki zasłoniły oszronione oczy. Ranny stracił przytomność.

– Jasne, przepchnij, odłam, wyjmij. Jasne, jasne. Bo to, kurwa, takie proste – mamrotała kobieta. Zacisnęła zęby, skrzywiła się i przez chwilę wyglądała na niezdycydowaną.

– Nie mam za wiele czasu – wyszeptał mężczyzna, nie otwierając oczu.

– Zanim cokolwiek zrobię... chcę, żebyś wiedział, że to mój pierwszy raz.

Kąciki ust rannego drgnęły, ale zamiast zmienić się w uśmiech – skrzywiły się z bólu. Beneria wcisnęła pierwszą strzałę. Ostrze weszło miękko. Kiedy grot znalazł się za plecami, krasnoludka bardzo szybko odłamała go i ją wyciągnęła. Postąpiła tak jeszcze dwukrotnie i za każdym razem poszło równie szybko. Przy ostatniej napotkała opór. Napała mocniej. Ranny syknął i otworzył oczy.

– Nie dam rady – płacząco tłumaczyła się Beneria.
– Nie dam rady.

– Spokojnie, dziewczyno. – Głos mężczyzny stał się nadspodziewanie mocny. – Może uda się bez tego. Odsuń się, dobrze?

Potaknęła i posłusznie zrobiła, co kazał.

Ranny usiadł. Opuścił powieki, odetchnął głęboko, a potem zamknął palce wokół wystającego z pierśsi drewna.

Jasność była porażająca. Oślepiła krasnoludkę, zmuszając ją do zamknięcia oczu. Zapach magnolii podrażnił zmysły.

Koń za plecami dziewczyny parsknął głośno, a potem zarżał wystraszony.

– Możesz otworzyć oczy. Już po wszystkim.

Mężczyzna stał nad nią i wyciągał rękę, by pomóc jej wstać. Zmarszczyła brwi.

– Kim ty, cholera, jesteś?

Uśmiechnął się chłodno.

– Zwą mnie Stroidarus. Beneria, prawda?

– Nie mówiłam, skąd...?

– Czytam w myślach.

– Jesteś jakimś czarodziejem?

– Jakimś jestem. – Skinął głową. – Dobrze, nie mamy za dużo czasu. Zabrali Ali i Terise. Straciłem sporo krwi, osłabłem, a i na uzdrowienie zużyłem niemało mocy. Mostu nie rozepnę. Musimy dostać się tam bez magii. Mój koń uciekł. Twój musi nas zanieść do jaśnie wielmożnego rządcy.

Beneria uśmiechnęła się złośliwie, zerkając na siwka.

– No, koleżko, lekko nie będzie, ale wreszcie na coś się przydasz.

Wierzchowiec zarżał, potrząsając łbem.

* * *

Dzień się kończył. Rządca stał w oknie i uśmiechał się do swego odbicia. Tak, zdecydowanie był to widok lepszy niż lasy i pola. Dobrze, że się ściemniło. Z szyby patrzył na mężczyznę wysoki i przystojny elegant. Ciemnowłosy i smukły. Eloy dbał o ciało. Lubił na nie spoglądać, tak jak lubił patrzeć na wszystkie piękne rzeczy.

Tak więc rządca patrzył na swoje odbicie i uśmiechał się do niego. W komnacie obok czekała nowa zabawka, w lochach natomiast kilka kobiet i durny kapitan ze zbyt długim jęzorem oczekiwali egzekucji. Kurewką, od której wszystko się zaczęło – powinien być dziwce wdzięczny – zajął się obleśny krasnolud. Wszystko układało się jak najlepiej. Wreszcie pozbył się rozbójników i nic na tym nie stracił. No, może za wyjątkiem kilku żołnierzy, ale to koszt, który poniósł bez większego bólu. I jeszcze dodatkowy prezent. Elfiątko. Gwardzista zapewniał, że takie jak tamto, a gwardziści nigdy nie kłamią.

Zbyt się boją swojego pana.

Odetchnął głęboko, a potem wszedł do swojej sypialni.

* * *

Terise obudziła się przerażona jak jeszcze nigdy wcześniej. Wszystko ją bolało, szczególnie ramiona. Poruszyła nimi i usłyszała dzwoniące łańcuchy. Otworzyła

oczy. Wokoło panował półmrok. W kącie pomieszczenia dogorywał kaganek oświetlający wąskie metalowe łóżko. Było wyjątkowo małe i przykryte szarym kocem. Żadnej poduszki czy prześcieradła. Na łóżku leżał kańczug zakończony kilkoma rzemykami, na których końcu przymocowano małe haczyki i ołowiane kulki.

Nie to jednak przeraziło czerwonowłosą.

Przeraziło ją to, że wisiała przypięta łańcuchami do powały, z szeroko rozstawionymi nogami przywiązany mi do haków w podłodze.

I była kompletnie naga.

* * *

Tym razem elfiątko było odziane. I niestety, było krótkowłose. Szkoda, lubił, kiedy włosy są długie. Cóż, nie można mieć wszystkiego. Leżało skrupowane niczym młode jagnię, z głową schowaną w ramionach. Nie zobaczył więc od razu jego twarzy. Reszta jednak rzeczywiście przypominała poprzednie. Szczupła sylwetka, wąskie ramiona, jędrne pośladki, na których opinały się spodnie. Eloi poczuł przyspieszające tętno. Podeszedł do leżącego i odwrócił go na plecy.

Nie od razu poznał regularne rysy i duże ciemne oczy. Ostatecznie nie widział dziewczyny od dwóch lat, a i wcześniej spotkał ją ledwie kilka razy. Dlatego też najpierw zachwycił się urodą elfiątki. Dopiero później rozpoznał w nim Ali.

Tak, w pierwszej chwili poczuł rozczarowanie. Zaraz jednak minęło.

– Ali Ohru Eneo. – Roześmiał się na widok czystej nienawiści w czarnych oczach półelfki. – Kto by

pomyślał? Córka pieprzonej elfiej księżniczki walczy u boku rzezimieszków.

– Przewodzi im – warknęła półelfka.

Gurtan przestał się śmiać. Zmarszczył brwi, przez chwilę przyglądał się leżącej, a później westchnął z przyjemnością. Największą rozkoszą było przecież łamanie ich woli, a ta dziewczyna miała charakter.

– Przewodziłaś rozbójnikom... Naprawdę? I co? I myślałaś, że zbierzesz wiejskie dziewczuchy i z nimi zdołasz mnie pokonać? Czym miały ze mną walczyć? Cepami? Widłami? Wiesz, ilu wysłałem ludzi przeciw wam? Dwudziestu. I starczyło. Truchła twoich rozbójniczek zaścieliły cały jar. A te, które nie zdechły w lesie, zawisną jutro na głównym placu. Razem z tym idiotą kapitanem, co to ma za długi jęzor.

Ali szarpnęła się, ale nauczeni doświadczeniem gwardziści związali ją bardzo mocno. Nie zdołała się uwolnić.

Rządca podszedł bliżej, kucnął przy nowej zabawce i przesunął palcami po jej szczupłym policzku.

– Nie martw się. Ty i ta twoja ruda kurwa pożyjecie jeszcze trochę. Ją oddałem jednemu krasnoludowi. Coś mam wrażenie, że dziwka pożałuje, że nie kazałem jej powiesić. Tak jak i ty. – Ostatnie słowa powiedział, ciężko już dysząc. Pchnął dziewczynę na brzuch...

A potem sięgnął do spodni.

* * *

– Więc jesteś czarodziejem? Takim trochę dupiatym, bo se sam ze strzałami nie poradziłeś. Dupiatym, ale zawsze. Jakem cię pierwszy raz ujrzała, myślałam, żeś

baba. A mnie niełatwo zwieść. No i tę ostatnią strzałę... Nie pogadasz, se dałeś radę. I na rannego już nie wyglądasz... To ty mnie powiedz, jaki z ciebie czarodziej, skoro zamiast łuczników w perzynę roznieść, dałeś się im ustrzelić, ha?

Stroidarus uniósł wzrok ku niebu, wzywając dobrych bogów na pomoc.

– Nie dałbym się im ustrzelić, jakbyś, dziewczyno, akurat wtedy nie chciała się uczyć latać. Odwróciłaś moją uwagę. I na nic było moje oszczędzanie Mocy. Trzeba było rozpiąć Most, a was przy jaskini zostawić. Przynajmniej nikt by mnie nie rozpraszał, fruując nad końskim łbem.

– Taaa... najlepiej zwalić na innych. Jakbyś był porządnym czarodziejem, to i ja bym dupy nie potłukła i strzał bym nie musiała z twej piersi wyjmować.

– To może tak mnie swoją urodą uwiodłaś, żem łuczników nie dojrzał – fuknął mag.

– A tak, to i być może. – Zachichotała, poprawiając odruchowo rudy loczek łaskoczący policzek. – To rzeknij mi jeszcze, po ciężką cholerę ty babę leśną udajesz, ha? Znaczy, nie powiem, kilku takich spotkałam, co babskie łaszki lubili wkładać i brewki czernić. No ale z ciebie kawał chłopa i na takiego, co innym dupy dawać lubi, nie wyglądasz. To po co oczojebną kieckę nosisz i starowinę po lesie udajesz?

Czarodziej westchnął. Z ulgą dojrzał bramy miasta na horyzoncie. Jeszcze chwilę...

– Nic nie powiesz? Tajemnica, co? Ale skoro beze mnie gryzłbyś ziemię od spodu, to chyba możesz rzec, ha?

– Ty się nigdy nie zamykasz, moja piękna?

– Z rzadka, mój przystojniaczku. To jak? Po coś w lesie siedział? I dlaczego teraz gnamy na złamanie karku obcą pannę ratować? Bo wiesz, to też mnie mocno zastanawia. Dlaczego obtłukujemy tyłki, a i co innego po równi, w niewygodnym siodle? Masz coś do tej chudej pannicy, co to chłopa udaje? Taka jakaś grupa wsparcia? Ona chłopa, ty babę, to trza se pomagać?

– Beneria...

– No?

– Masz rację. Uratowałaś mi życie. Jakbyś nie wyjęła strzał, nie zdołałbym odzyskać sił. Jestem twoim dłużnikiem. Taki mój życiowy pech. Wiecznie robią coś dla mnie kobiety, którym potem muszę długi spłacać.

Krasnoludka pokiwała domyślnie głową.

– Strzeżesz panny, boś jej dłużnikiem?

– Obiecałem jednej syrenie, że zaopiekuję się jej prawnuczką. Jak na razie słabo mi idzie. A Colinera fatalnie znosi niepowodzenia... No i rodzinę ceni ponad wszystko. Lepiej, żeby Ali włos z głowy nie spadł. Nie wyobrażasz sobie, jak nieznośna bywa wściekła syrena.

To rzekłszy, spał sówka. Minęli bramy miasta.

Bez słowa pognali przez główną ulicę i zatrzymali przed pałacem rządcy. Mimo nadchodzącej nocy na głównym dziedzińcu wciąż uwijała się służba. Przy wejściu stało dwóch zbrojnych. Stroidarus zeskoczył z sówka i spojrzął w górę, szukając rozświetlonych okien. Zmrużył oczy, odetchnął...

Beneria zsunęła się z siodła i z zachwytem wpatrzyła w towarzysza. Tęczowa luna miękkimi falami otoczyła maga i migotała delikatnym, ledwie widocznym blaskiem.

Aromat magnolii wypełnił powietrze. Łagodny zaśpiew wiatru tańczącego wśród drzew pieścił uszy. Chłód nocy powoli zmienił się w parny mrok. Tęcze barw, ta magiczna i ta z pstrokatej sukni, w którą wciąż odziany był mag, zmieszały się w jedno, pojaśniały, rozświetliły noc, rozbliły. I znikły. Moc Pierwotnego wróciła do swego pana.

– O kurwa – szepnęła Beneria, gdy potężny mężczyzna w czarnym skórzanym stroju, dopasowanym do umięśnionej sylwetki niczym druga skóra, spojrział w jej kierunku.

– Nie klnij, dziewczyno. Pięknym kobietom nie wypada – napomniał ją łagodnie. – Zostajesz czy idziesz?

– Coś mi mówi, że przy tobie będę bezpieczniejsza – mruknęła krasnoludka. – Idę, oczywiście, że idę.

* * *

Krzyk dziewczyny przyspieszył tętno Struna. Zamierzył się znowu.

Haczyki wbiły się w jasną skórę ładacznicy. Pociągnął. Trysnęła krew. Terise zawyła ponownie. Krasnolud przesunął dłoń po plecach kobiety. Lepka, ciepła krew podnieciła go, niosąc niemal na granicę spełnienia. Zamierzył się jeszcze.

Za chwilę, kiedy będzie już nieprzytomna, uwolni ją z łańcuchów i weźmie. I będzie brał. Raz za razem. Na każdy z możliwych sposobów.

Bat opadł. Dziewczyna krzyknęła.

Za oprawcą otworzyły się drzwi. W progu stanęła krasnoludka, a za nią czarodziej. Strun nie zauważył żadnego z nich, zbyt rozgniony dumaniem o przyszłości. Uniósł rękę...

Beneria sięgnęła do paska stojącego za nią maga. Wyszarpnęła krótki sztylet. Przyskoczyła do krasnoluda i jednym cięciem poderżnęła mu gardło.

* * *

Uszczęśliwiony Keru stał na straży u drzwi rządcy. Rozmyślał nad przyszłością. Nad wianem dla sióstr i małym domkiem dla matki na stare lata. Marzył o dziewczynie z wioski, z którą za parę lat może się ożeni i spłodzi kilkoro dzieci. Za rok, może dwa, kiedy dzięki hojności rządcy zdoła odłożyć trochę talarów i zostanie nowym kapitanem straży.

Stał tak Keru pod drzwiami rządcy, marząc o cudownej przyszłości. I nawet nie zauważył, kiedy przyszła śmierć.

* * *

Stroidarus uchylił lekko drzwi do sypialni rządcy, po czym spojrział do wnętrza. Zacisnął usta, a palce na framudze aż pobiełały, gdy mag zobaczył scenę w komnacie. Beneria próbowała zajrzeć, ale mężczyzna zasłonił jej widok. Nie wszedł jednak do środka. Zmrużył powieki, a krasnoludka znów poczuła intensywny zapach magnolii.

Zmarszczyła brwi, bo czarodziej powolutku znów zamknął drzwi.

– Nie wchodzimy?! Zostawiamy ją tam?! – warknęła szeptem. – Oszalałeś?!

– Nie zostawiamy – odpowiedział równie cicho. – Poczekaj.

– Na co, cholera?

Nie odpowiedział, ale kiedy dziewczyna ruszyła ku wejściu, objął ją mocno i przytrzymał.

– Czekaj – powtórzył.

* * *

Ali poruszyła się gwałtownie, choć nie miała nadziei na uwolnienie. Za jej plecami rządcą rozwiązywał spodnie. Słyszała to. Szarpnęła się więc, bo nie mogła tak czekać. Jak owca prowadzona na rzeź. Próbowwała już wcześniej, bez powodzenia. Wyrywała się, gdy ją złapali. Szarpała, gdy wiązali. Bez skutku. Aż nagle więzy puściły.

Wyprostowała się gwałtownie. Wciąż leżąc, machnęła nogami, podcinając pochylonego Eloja. Mężczyzna zachwiał się i ciężko padł na podłogę. Próbował się podnieść, ale niedoszła ofiara mu na to nie pozwoliła. Zerwała się błyskawicznie i gdy tylko rządcą lekko się uniósł, walnęła go pięścią w szczękę, a potem kopnęła. Raz i drugi. Upadł, a dziewczyna skoczyła mu na pierś i zaczęła go okładać. Zasłaniał twarz rękami. Nie walczył. Krzyczał, wzywając pomocy, ale nikt nie nadbiegał.

Wreszcie Ali wstała.

– Chcę, żebyś wiedział – powiedziała cicho, podchodząc do ściany, na której wisiały miecze – że nie zabiję cię z zemsty. Nie chodzi o to, że przez ciebie mój ojciec został ścięty, a matka się powiesiła. Nie, nie dlatego cię zabiję. – Zdjęła ze ściany pięknie inkrustowany elfi oręż i podeszła do leżącego. Był przytomny, a z nosa, ust i rozciętych łuków brwiowych płynęła mu krew. Z oczu

zaś wyzierało przerażenie. – Zabiję cię dla tutejszych mieszkańców, dla pogranicza i całej Krainy. Dla nich wszystkich – zakończyła szeptem.

A później wbiła ostrze w pierś rządcy.

* * *

Siwek niósł ich przez las. Ciemność otaczała słodką miękkością. Beneria, na wpół drzemiąc, opierała głowę o pierś mężczyzny, a ten uśmiechał się lekko. Cisza. Lubił ciszę, ale coś mu mówiło, że będzie musiał zrezygnować z tego upodobania. Kto by pomyślał... Krasnoludka.

Pochylił głowę, by poczuć zapach śpiącej. Ostro, korzenny. Tak właśnie pachniała przyszłość Stroidarusa.

– O cholera. – Dziewczyna wyprostowała się nagle. – Zapomniałam zapytać, jak się robi takie włosy.

Bajki krasnoludzkie
Copyright © Małgorzata Lisińska
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Leszek Woźniak
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2020 r.

druk ISBN 978-83-7995-459-9
epub ISBN 978-83-7995-460-5
mobi ISBN 978-83-7995-461-2

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Iga Wiśniewska
Korekta: Małgorzata Tarnowska
Korekta techniczna: Beata Paździurkiewicz
Projekt okładki i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Ilustracja na okładce: Leszek Woźniak
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl





TROPICIEL MAŁGORZATA LISIŃSKA

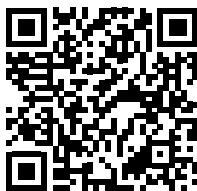
Sodi Yudherthardere, dla przyjaciół i ludzi z problemami wymowy po prostu Sodi, to krasnoludzki Tropiciel ze słabością do kobiet, alkoholu, złota, bijatyk i magii (dosłowną). U boku Yasy (najpotężniejszego żyjącego maga) i Likal (seksownej, potężnej i kompletnie nim niezainteresowanej uczennicy maga) wyrusza w podróż po Krainie, a w drodze przeważnie cierpi na migrenę. Niczym bohaterowie bajek, tylko zupełnie inaczej, ta trójka stawia czoła wyzwaniom godnym herosów.

niom godnym herosów.

Książka dla czytelnika dorosłego lub posiadającego certyfikat znajomości łaciny podwórkowej!

Mistrz Haxerlin i Thuz z miejsca polubili Sodiego. Idealny towarzysz podróży, bajarz, mitoman i drań w ich stylu! – Jacek Wróbel, autor serii *Haxerlin*

PIERWSZY TOM SERII TROPICIEL





CZAROWNICA MAŁGORZATA LISIŃSKA

Sodi, Likal i Yasa zmierzają wprost do paszczy lub łożnicy Smoczycy. Właściwie tylko ten ostatni ma szansę na to ostatnie. Krasnoluda i uczennicę Pierwotnego czeka lżejszy los.

Nasi bohaterowie umilają sobie drogę, popadając w liczne tarapaty, grając w „jakie to przekleństwo”, testując wytrzymałość krasnoluda na trunki i wytrzymałość pozostałych na krasnoluda. Słowem – bawią się wyśmianicę, jak to tylko oni potrafią.

Wszystko do czasu, kiedy na granicy z Itru sprawy nadmiernie się komplikują i przed wędrowcami stają kardynalne pytania. Czy Yasa poświęci najszybsze marzenia dla podopiecznej? Czy Likal okiełzna drzemiącą w niej moc? Czy Sodi z pomocą Tropicielea ochroni przyjaciół?

„Czarownica” to kontynuacja bestsellerowego „Tropicielea” i powrót do świata znanego nam ze słuchowiska „Tropiciele opowiada”.

DRUGI TOM SERII TROPICIEL





ZAKONNA MAŁGORZATA LIŚŃSKA

*Dawno, dawno temu... **

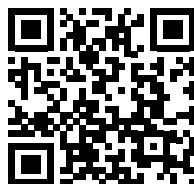
Ostatni żyjący Pierwotny ukrył się w grocie na krańcu świata i tam czuwa nad przekłętą przez siebie kochanką. Sodiemu leśna wróżka przepowiedziała śmierć, a krasnolud, choć z natury sceptyczny, leśnym wróżkom ufa bezgranicznie. Zmierza zatem do Yasy po ratunek.

Tymczasem Krainie grozi kolejna wojna domowa. W zasypanej śniegiem cichej gospodzie spotykają się przedstawiciele wszystkich inteligentnych nacji, by zapobiec przelewowi krwi.

Czy im się powiedzie? Jaka będzie w tym rola Sodiiego i Yasy? Czy zdołają pokonać potężną czarownicę? I co najważniejsze, kim jest Rosa i o co chodziło leśnym wróżkom?!

* a przynajmniej przed przygodami opisanymi w *Tropicielu* i *Czarownicy*.

PREQUEL SERII TROPICIEL





TANIEC MARTIONETEK TOMASZ NIZIŃSKI

To nie jest kolejna książka o ratowaniu świata!

W tej rozgrywce stawka nie jest większa niż życie, a ludzkości nie grozi zagłada, lecz w najgorszym wypadku znaczne podwyższenie stóp procentowych.

Witaj w świecie, w którym demony są analfabetami, nekromanci nigdy nie trzeźwieją, a bohaterowie są zawsze gotowi ryzykować życiem. Cudzym.

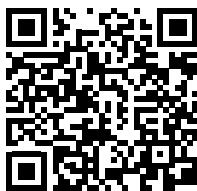
Czarna Kompania, Podpalacze Mostów, Łowcy Kości i Siódmy Regiment z Erei to elita wśród najemnych kompanii.

Wypełniony barwnymi postaciami świat Siódmego Regimentu wciąga i nie wypuszcza do ostatniej strony. - **Marcin A. Guzek**, autor serii *Szare Płaszczce*

„Taniec marionetek” to najlepsza powieść fantasy od wielu lat. - **Arkady Saulski**, autor cyklu *Kroniki Czerwonej Kompanii*

Tak dobre, że czytałem na głos! - **Wojciech Masiak**, @Czyta Wojtek Masiak

PIERWSZY TOM SERII WYBLAKŁE SZTANDARY





DIABŁY Z SAINTS MARCIN RUSNAK

Świat znalazł się w ruinie, cywilizację zastąpił chaos. W ocalałych z wojennej zawieruchy miastach królują gangi i handlarze niewolników. Większość ludzi wyznaje tylko jedno prawo, prawo silniejszego. Tylko gdzieś próbuje się utrzymać dawny ład. Alan i Zack mają szczęście żyć w rybackiej wiosce Saints, gdzie czas upływa im na prostych obowiązkach i zabawach z rówieśnikami.

Idylla nie trwa jednak wiecznie. Osa-
da pada ofiarą napaści, z której tylko oni dwaj wychodzą cało. Pozo-
stawieni samym sobie, są zmuszeni do walki o przetrwanie. Niełatwą
sytuację komplikują rodzące się pytania.

Czym są osobliwe moce, które budzą się w chłopcach? Czy atak
na wioskę naprawdę był dziełem przypadku? Jaką mroczną tajem-
nicę skrywali rodzice Alana i Zacka? Co łączyło ich z legendarnym
łowcą potworów?

Alan i Zack ruszają w poszukiwaniu odpowiedzi przez świat opa-
nowany przez potwory w ludzkiej skórze i nieskrywające swojej na-
tury bestie.

